Chris Niedenthal: Wiedziałem, że trzeba tam być (wywiad)

Miasto
Kultura

07.10.2021 g. 11:35



Już jutro (8.10) otwarcie 11. Opolskiego Festiwalu Fotografii i spotkanie z Chrisem Niedenthalem, autorem najsłynniejszych zdjęć Polski z czasów PRL-u. Fotograf związany z redakcją „Newsweeka” oraz tygodnika „Time”

podczas Festiwalu zaprezentuje swoją najnowszą wystawę „Tu i teraz” o Polsce w ciągu ostatnich 5 lat. Nam opowiedział o swoich korzeniach i pasji do fotografii.



Chris Niedenthal © Bartek Maciejewski

- Jedno z pierwszych zdjęć na Pana stronie internetowej przedstawia Lecha Wałęsę w intymnej scenie pocałunku z żoną Danusią. Czy pamięta Pan jak doszło do zrobienia tej fotografii?

- Tak, pamiętam to doskonale. Po strajku w Stoczni Gdańskiej Wałęsa wiedział, że musi dopuścić do siebie dziennikarzy zagranicznych i że to mu zrobi dobrze, jak również samej „Solidarności". Dlatego nie robił problemu, żeby się umówić na spotkanie w domu. Byłem z nim umówiony, że przyjdę na śniadanie, zrobię parę zdjęć, a potem pojedziemy do jego nowej pracy. On był już wtedy przewodniczącym związku i miał pracę w biurze we Wrzeszczu. Zacząłem go fotografować w trakcie tego śniadania i potem, kiedy zakładał kurtkę, bo była jesień i chłodno na dworze. Już mieliśmy wychodzić i raptem Danusia się pojawiła i on ją cmoknął czule na pożegnanie…

- Tak jak zwykły człowiek, a nie lider wielkiego ruchu społecznego…

- Tak, to było całkowicie naturalne, tutaj nic nie było zagrane. Jeszcze pół godziny wcześniej byłby w kapciach. To zawsze śmieszyło zagranicznych fotoreporterów, którzy byli u niego i mówili: najważniejszy człowiek na świecie, a tu w kapciach sobie siedzi. Zresztą na tym zdjęciu jest jeszcze inna pani, której nie znałem. Dopiero później dowiedziałem się, że to mama pani Danusi. Na zdjęciu, jak na typową teściową przystało, widząc, że zięć wychodzi do pracy, to niesie jeszcze herbatkę do wypicia przed wyjściem (śmiech).

- Wracając do początku… Przyjechał Pan do Polski w 1973 roku na kilka miesięcy, a został w niej do dziś. Co Pana zafascynowało w tamtej Polsce?

- Rodzice moi byli emigrantami z Polski, którzy wylądowali w Anglii w czasie II Wojny Światowej i choć ja urodziłem się w Londynie, znałem perfekt angielski i chodziłem do angielskich szkół, to zawsze ta polskość we mnie siedziała. Do Polski przyjeżdżałem często na wakacje, pierwszy raz z rodzicami już w 1963 roku, a dwa lata później już samemu jako 15 – letni dorastający chłopak. To, co mnie zafascynowało, to młodzież, tak różna od moich kolegów w Anglii, którzy nie mieli wielkich zainteresowań. A tutaj młodym ludziom się chciało… Czytali, co tylko mogli,

zdobywali książki spod lady, walczyli z komunizmem w mniej lub bardziej otwarty sposób, również żartami, dowcipami. Mnie to się bardzo podobało, więc jak skończyłem studia, trochę popracowałem w Londynie, udało mi się załatwić zaproszenie i w ramach wymiany dziennikarzy trafiłem do Polski. Tak przyjechałem, zaprzyjaźniłem się z kolegami, świetnymi zresztą fotografami z Polski i wsiąkłem... Nie bez znaczenia jest fakt, że w Polsce poznałem swoją przyszłą żonę. Przez to, że znałem język, nie czułem się obco, a mając brytyjski paszport w każdej chwili mogłem wyjechać. Taki paradoks, moi koledzy z Polski bardzo chcieli wyjechać, a ja koniecznie chciałem zostać (śmiech).

- Fotografował Pan wiele ważnych wydarzeń w tamtym okresie.

- W 1978 roku, kiedy Karol Wojtyła został wybrany papieżem, wiedziałem, że to ważny moment dla Polski. Podczas pielgrzymki do kraju redakcja amerykańskiego „Newsweeka" przysłała uznanego francuskiego fotoreportera. Ja również złapałem z nimi kontakt i nawiązałem współpracę. Potem się okazało, że to właśnie moje zdjęcie trafiło na okładkę pisma. Większość zdjęć relacjonujących pielgrzymkę była również mojego autorstwa, a nie wspomnianego Francuza, który traktował mnie zresztą niezwykle lekceważąco. Obraziłem się na niego i zdobyłem okładkę.

- To dlatego, że znał Pan lepiej polskie realia?

- Dzięki znajomości języka i wyrobionym kontaktom ja nie bałem się poruszać poza oficjalnym centrum prasowym. Tak między innymi zrobiłem zdjęcie papieża na wałach jasnogórskich, kiedy po mszy większość fotoreporterów poszła już do centrum prasowego, a ja za namową znajomego zakonnika zostałem jeszcze na miejscu. Okazało się, że papież ponownie wyszedł do zgromadzonych wiernych, a ja zdobyłem moją pierwszą okładkę w „Newsweeku".

- Znalazł się Pan w dobrym miejscu we właściwym czasie. Podobnie było w Stoczni Gdańskiej?

- Tak, zadzwonił do mnie kolega, dziennikarz brytyjski, że rozpoczął się strajk i może byśmy pojechali do Stoczni. Następnego dnia, kiedy znaleźliśmy się w zakładzie okazało się, że stoczniowcy nie chcą wpuszczać dziennikarzy, a zwłaszcza zagranicznych. Fotoreporterów się najbardziej bali. Bali się pokazywać na zdjęciach, że zostaną rozpoznani przez bezpiekę. Można powiedzieć, że ja byłem tym królikiem

doświadczalnym i musiałem użyć fortelu, żeby wejść. Namówiłem ich, żeby wpuścili samego dziennikarza, a później zasugerowałem, że skoro boją się fotografa, to wpuście mnie przynajmniej jako tłumacza tego kolegi redaktora, z którym przyjechałem, przecież on nie zna polskiego. W ten sposób znalazłem się za bramą. Później nikt nie chciał mi uwierzyć, że miałem problem z wejściem. Pod koniec strajku był tam przecież już cały świat, dziesiątki dziennikarzy i fotoreporterów.

- Portretował Pan również czasy stanu wojennego w Polsce dla amerykańskiej prasy. Które zdjęcia z tamtego okresu wzbudzały największe zainteresowanie?

- To ja decydowałem, co zasługuje na uwagę i jest warte sfotografowania z prostego powodu, to ja byłem na miejscu, a kontaktu ze światem brakowało. Oni tam w Stanach nie mieli pojęcia, co się tutaj dzieje, byli zdani na zdjęcia, które im przysyłałem. Fotografowałem wszystko, co trzeba - czy sceny uliczne, czy wojsko na ulicach... Wiedziałem, że tak trzeba. W początkowym okresie byłem zresztą zmuszony szmuglować filmy na Zachód, zanim otworzyli lotniska i pozwolili na ich wysyłkę. Co ciekawe, co mnie zawsze dziwiło, choć wojsko kontrolowało wysyłanie rolek z filmami, to nie kazali ich wywoływać. Część zdjęć była przecież wykonywana nielegalnie, z ukrycia.

- Tak było ze słynnym „Czasem apokalipsy”?

- Tak, to był efekt chwili. Jadąc ulicą Rakowiecką w stronę Puławskiej, gdzie było kino, widziałem tę scenę z napisem „Czas apokalipsy” w tle. Dopiero później dojrzałem, że oprócz żołnierzy stoi tam jeszcze SKOT, czyli transporter opancerzony. Powiedziałem kolegom z auta: „Słuchajcie, musimy tu skręcić w prawo, stanąć i kombinować, bo coś fajnego się szykuje”. Żeby nie robić tego z ulicy, bo oczywiście nie wolno było nam fotografować, szukaliśmy jakiś drzwi i klatki schodowej. Tam jest tylko jedna klatka, trochę po przekątnej od kina i chyba z drugiego piętra zrobiliśmy przez okno te zdjęcia i potem szybko uciekaliśmy. Tym bardziej, że w pośpiechu nie wyłączyłem alarmu w samochodzie. Ten samochód zaczął wyć i dopiero się baliśmy, że zaraz przyjdą żołnierze, ale na szczęście nikt nie zareagował.

- Nie obawiał się Pan zatrzymania przez bezpiekę w związku z Pana pracą w tamtym czasie?

- Oczywiście, szczególnie przed demonstracjami czy manifestacjami, milicja kręciła się w takich miejscach i już nas znała, rozpoznawała fotoreporterów i dziennikarzy zagranicznych. Czasem lądowało się w „suce” i jechało na komisariat. Innym razem grzecznie podchodzili do nas i kazali nam, mówiąc kulturalnie odchodzić stamtąd. Nie było łatwo kręcić się wokół miejsc, gdzie coś miało się dziać. Na wszelki wypadek w jednej kieszeni kurtki miałem filmy, które zrobiłem i które wiedziałem, że są ważne, w innej kieszeni takie, które były puste i które w razie rewizji spokojnie mogłem oddać licząc na to, że mnie nie przeszukają i w ten sposób uda mi się ukryć to, na czym mi zależało. Zwykle to skutkowało.

- Fotografował Pan również życie codzienne w PRL-u. Które z tamtych zdjęć jest Pana ulubionym?

- Zdecydowanie wolę zdjęcia z życia codziennego niż te wszystkie polityczne. Moja żona śmieje się, że zawsze wybieram to jedno ulubione. Zostało zrobione w 1982 roku we Wrocławiu. Przedstawia zamyślonego mężczyznę siedzącego na drucianym krześle kawiarni na Placu Solnym. Po prostu siedzi i pali papierosa zadumany nad czymś. Każdy oglądający to zdjęcie może dopisać własną interpretację. I to jest dla mnie fascynujące.



Wrocław 1982 © Chris Niedenthal

- Mnie z kolei zaintrygowały Pana zdjęcia pustych półek sklepowych albo dla odmiany prosiaków sprzedawanych prosto z bagażnika samochodu.

- Tak, te sklepy wyglądały strasznie. Na zdjęciach widać tak zwane nagie haki. I ludzi zdesperowanych, bo musieli walczyć praktycznie o wszystko, o cokolwiek, co można było kupić i ugotować. Z drugiej strony na bazarach, takich jak w Grójcu z bagażników Syrenek czy Warszaw, wyłożonych słomą, sprzedawano zwierzęta hodowlane. Z dzisiejszej perspektywy wygląda to nierealnie.

- Choć tamte czasy kojarzą się z biedą i szarzyzną, to Pana kolorowe zdjęcia mocno je uwspółcześniają. Widzimy, że ludzie próbowali żyć normalnie.

- Oczywiście, widać po ubiorach kobiet, że one chciały czuć się modnie. Zdobywały tkaniny, szukały krawcowej albo same szyły sobie ubrania, korzystając z wzorów z pism modowych. Moim zdaniem dziewczyny w Warszawie były dużo ładniej ubrane niż te w Londynie, gdzie po prostu szło się do sklepu i kupowało, co akurat było dostępne. Przy wszystkich trudnościach życia w okresie komuny, Polki zawsze ubierały się oryginalnie i kolorowo.

- Od wielu dekad mieszka Pan w Polsce. Czy czuje się Pan nestorem polskich fotoreporterów?

- Nie, nie. Myślę, że Tadeusz Rolke zasłużył na to miano. On w dużo trudniejszych warunkach fotografował lata 50. i 60. w Polsce. Ja zawsze mu zazdroszczę tego, ale wtedy musiałbym być o 20 lat starszy. Ja jestem tak samo dobry jak każdy inny mój kolega, koleżanka, który w danym sobie czasie fotografował rzeczywistość. Być może to, co mnie wyróżnia to to, że moje zdjęcia w większości są kolorowe, podczas gdy moi koledzy robili wówczas przede wszystkim czarno-białe.

- Co chciałby Pan przekazać młodym ludziom, którzy myślą o zawodzie fotoreportera?

- To już jest trudniejszy zawód niż kiedyś. Coraz mniej pism, które chciałyby zdjęcia drukować. To smutne, ale tak się dzieje nie tylko w Polsce, ale również na całym świecie. Tym, którzy zaczynają w tym zawodzie, radzę jak najwięcej fotografować, żeby się tego nauczyć oraz być otwartym na różne projekty, poszukiwać grantów, stypendiów. Skoro nie chcą nas drukować, to starajmy się sami tworzyć i realizować, chociażby poprzez internet.



Chris Niedenthal © Bartek Maciejewski

Rozmawiał: Łukasz Śmierciak

Wywiad pochodzi z październikowego wydania magazynu "Opole i Kropka": www.opole.pl/dla-mieszkanca/aktualnosc/zapraszamy-do-lektury-pazdziernikowej-

kropki

Dane kontaktowe
Wydział Kultury, Promocji i Komunikacji Społecznej

Tagi
Opole i kropka
wywiad
Chris Niedenthal
fotografia